

Gościliśmy Z. Rysiównę

Gościem Sceny Verbum Teatru Nowego oraz patronującej mu redakcji „Głosu” była wczoraj Zofia Rysiówna. Znakomita aktorka, przed laty, za dyrekcji Horzycy i Woźnika związana z Teatrem Polskim w Poznaniu. Na nowej Scenie Nowej zainaugurowała ona sezon salonowych spotkań z publicznością Poznania, rozmów o sztuce teatru i o życiu inkrustowanych fragmentami z jej scenicznych monologów. A poprzedził je obiad w redakcji „Głosu” z udziałem dyrektora *Eugeniusza Korina* i *Milana Kwiatkowskiego* podczas którego to mieliśmy także okazję porozmawiać z wybitną aktorką. (ob)

Zapis rozmowy na str. 3



Fot. „Głos” — Andrzej Szozda

Sztuka to energia

Rozmowa z ZOFIĄ RYSIÓWNĄ

— **Zaczynała pani zaraz po wojnie w Krakowie...**

— Teatr po wojnie to było oczekiwanie, zagadka i nadzieja. Coś absolutnie niepowtarzalnego i ja te lata spędziłam w Krakowie. Wtedy nie było dosłownie niczego. Za pierwszą moją gażę aktorską kupić mogłam sobie tylko parę kapronów, radzieckich pończoch. Ale teatr był wtedy czymś absolutnie wielkim. Byli w nim wspaniali ludzie. Przeżyłam w Krakowie wysadzanie z siodła Karola Frycza. Wspaniałego człowieka teatru, o wyszukanej kulturze i wielkiej osobowości. Jak elegancki i ujmujący był to człowiek i jak świetnym był on scenografem. Grałam Dianę w „Fantazym” u boku samego Juliusza Osterwy. To były wtedy naprawdę ogromne dla mnie przeżycia. Ale czasy były wówczas straszne. I Frycz i Osterwa stali się ofiarami potwornych intryg.

— **Potem był Poznań, i jak po latach go pani wspomina?**

— Z Krakowa przeszłam do Poznania do Wilama Horzycy. To był wspaniały człowiek i wielki artysta teatru. Ale i on został ofiarą skierowanych przeciwko niemu intryg. Niezmiernie ciepło wspominam kolegów aktorów z tych lat. Przede wszystkim Bolesława Roślana. Wspaniałego aktora i komika. Jak on grał tego Grabarza w „Hamlecie”. Rola mała, epizodyczna, a cóż to była za kreacja. Ile wy dobył z niej komizmu. Podobnie serdecznie wspominam Bronkę Frejtażankę z tym jej wschodnim wileńskim akcentem, tak zakochaną w wielkim polskim romantycznym repertuarze.

— **Ale teatr Horzycy miał kłopoty z krytyką.**

— Potworne. Kiedyś przy okazji recenzji z przedstawienia „Lubow Jarowaja” przeczytaliśmy, że ja i Hanuszkiewicz jesteśmy w tym teatrze niepotrzebni, chociaż w tym akurat przedstawieniu nie graliśmy. Ale wie pan recenzje teatralne to temat rzeka. Gdy mój eksmąż (Adam Hanuszkiewicz) żalił się kiedyś dyrektorowi Stomie, na nieprzychylnie i niesprawiedliwe recenzje, Stoma mu powiedział jak się to załatwiało przed wojną. Zapraszało się krytyka na dobrą kolację i wręczało się mu podczas niej jeszcze 30 złotych, a były to wówczas ogromne pieniądze i wspólnie przy stole ustalało się co napisać.

— **Ktoś niedawno powiedział, że za tyle zła, które spotkało w Poznaniu Horzycę, musiał on rzucić jakąś klątwę na ten teatr, która po dziś dzień trwa.**

— Nie, on nie byłby zdolny do

rzucenia klątwy na swój teatr. To był tego formatu człowiek, że to byłoby nie do pomyślenia dla niego. Natomiast ludzie z jego otoczenia będący świadkami tego jak go z tego teatru wyrzucano, mogli stworzyć taką legendę. A krzywdy, które go w Poznaniu spotkały miały — jak sądzę — charakter polityczny. Horzyca był przecież legionistą. Jaką wspaniałą atmosferą intelektualną panowała wówczas w teatrze. A repertuar był dość różny. No cóż, były to czasy nie tylko „Snu nocy letniej” czy „Hamleta”, ale i „Juliusza i Ethel” czy „Domu na Twardej”.

— **Po Poznaniu była już tylko Warszawa?**

— Wiele ról, wiele teatrów... I były też gościnne występy w Poznaniu w przedstawieniu Jacka Pazdry, w „Berenice” z młodym aktorem Władysławem Łagodzińskim.

— **Żał pani, że ten wielki romantyczny repertuar się kończy?**

— Schamienie jest straszne i ludzie nie rozumieją już tego język... Utkwiła mi w pamięci wizyta teatralna w moim rodzinnym Nowym Sączu. Znajomy z dawnych czasów przyszedł na przedstawienie. Chwalił, ale przyznał się niczego, ale to dosłownie niczego nie rozumiał.

— **A czy teraz pani chodzi do teatru?**

— Nie za bardzo. A gdy już wybiorę się, ogarnia mnie niechęć. Byłam na „Mazepie”, myślałam widząc Zbigniewa pięćdziesiątka, że padnę trupem. Widziałam też „Fantazego” z Dianą, pulchną i niezdarną. Oglądałam w tej roli przed laty Olę Śląską. Młoda Śląska, bo ta późniejsza już taka nie była, to absolutny szal. Albo Osterwę. Jak on na parę jeszcze miesięcy przed śmiercią mówił te wielkie swoje monologi. Ile było w tym siły. Albo Romanówna jako Idalia lub Leszczyński. W jaki sposób on chodził po scenie, jak stawał nogi. To był człowiek jak lew. I tak piękny, że on właściwie nie musiał grać, żeby robić na widzach wrażenie. A teraz? No cóż, gdy ogląda się przedstawienia z tego repertuaru ogarnia po prostu czarna rozpacz.

— **Cóż więc jest istotą sztuki?**

— Sztuka to jest energia. Albo się ją ma, albo nie ma. Jeśli ktoś człapie po scenie, to nic z tego nie będzie. Ze sztuką jest tak jak z praniem. Trzeba mieć dużo energii, żeby to było naprawdę czyste.

Rozmawiał
OLGIERD BŁAŻEWICZ